

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Zofja Bohdanowiczowa
Roman Fajans
Władysław Gieysztor
Wiktorja Janda
Aleksander Janta
Tadeusz Sowicki
Inż. Jarosław Żaba

Vol. 2 Nr. 25 (77) Nowy Jork, 18 czerwca — New York, 21, N. Y., June 18th, 1944

Cena 15 ct.

SZTANDAR POLSKI NA CASSINO



INŻ. JAROSŁAW ŻABA

Lwowski Bataljon na "Widmie"

(Z WALK WOJSK POLSKICH POD CASSINO)

Odwodowy Baon "Lwów" ze stanowisk w rejonie oczekiwania wysłał o godzinie 21:00 patrole ścieżkowe. Miały się one posuwać tuż za nacierającym Baonem "Wilków" z zadaniem poszerzenia ścieżek i przeprowadzenia po nich Baonu. Według założenia całe wzgórze miało być zdobyte przez nacierające w pierwszej linii Baony 'Rysiów' i 'Wilków', a Baon 'Lwów' miał wejść na miejsce 'Wilków'.

W czasie nawały ogniowej naszej artylerji Bataljon pozostaje w rejonie wyczekiwania. Mijają długie godziny huraganowego ognia naszej artylerji.

12 maja punktualnie o godzinie 01:00 w nocy rusza Lwowski Bataljon na podstawę wyjściową. Cały Bataljon posuwa się jedyną ścieżką wijącą się w górę kamiennego grzbiecu, na którym zaległy w obronie "Żbiki".

Pluton łączności Baonu wysłany z patrolami ścieżkowymi z zadaniem przygotowania centrali i linii, które pociągną za sobą idące wprzód kompanje.

Na czele dowódca Baonu pułk. D. z poczem. Tuż za nim adjutant, oficer informacyjny.

Artylerja i moździerze niemieckie zaczynają okładać cały trzymany

przez "Żbików" stok silnym ogniem. Bataljon idzie wśród straszliwej kaganady własnej artylerji i wybuchów pocisków artyleryjskich i moździerzy niemieckich.

Pułkownik przechodzi obok oficera stojącego na ścieżce jako regulator ruchu. Pierwszy meldunek tej nocy: patrole ścieżkowe dziesiątkowane od ognia artylerji i moździerzy. Obaj dowódcy patroli ppor. P. Franciszek i ppor. Ł. Jerzy ranni. Bataljon musi iść naprzód bez przewodników.

Przychodzi wieść o śmierci porucznika Stupińskiego Augusta, który jako dowódca szedł na czele plutonu łączności. Pułkownikowi D. zostaje do dyspozycji jedna radjostacja, która wraz z nim idzie w poczcie dowódcy baonu.

Wzdłuż ścieżki w przeciwnym kierunku żołnierze znoszą pierwszych rannych. Na mijanych noszach Lwowiaci poznają swych kolegów.

Ogień niemieckiej artylerji i moździerzy wzmagą się. Pociski padają po obu stronach ścieżyny. Jeden z moździerzowych pocisków niemieckich pada w sam środek pocztu Dowódcy Baonu. Ranni oficer informacyjny i adjutant Baonu. Obaj opatrzeni naprędce idą dalej.

Pułkownik próbuje nawiązać łącz-

ność z dowódcą baonu "Wilków". Ktoś daje znać, że w pobliżu jest jakaś centrala telefoniczna. Jest rzeczywiście, ale bez połączeń. Wszystko porwane. Znajdujący się na niej oficer z baonu "Wilków" melduje, że nie ma łączności z własnym dowódcą.

Pułkownik nie ma również swojej centrali, która przepadała idąc za "Wilkami". Każę zakładać linje i ciągnąć je idącym wprzód kompanjom.

Kompanje Baonu zostają skierowane na grzbiet broniony przez "Żbiki"; stamtąd mają wysłać patrole i czekać na dalsze rozkazy.

O godzinie 03:30 Bataljon jest na grzbiecie wzgórza. Zalegli Lwowiaci pomiędzy broniącymi wzgórze od wielu dni i nocy "Żbikami". Jeszcze trwa noc. W powietrzu mgła dymów, kurz od wybuchających co chwila pocisków niemieckich moździerzy, ogłuszający huk. Ale wszyscy patrzą wprzód tam, gdzie zarysowuje się cel natarcia — wzgórze "Widmo", oświetlane raz po raz błyskami wybuchów. By doń dojść, Bataljon będzie musiał zejść z grzbiecu do jaru.

Przychodzi z meldunkiem kapitan P. "Wilki" są w przodzie pod "Widmem". Przychodzi również wiadomość

TADEUSZ SOWICKI

ITALIA MADRE

Będzie jeszcze jeden zwalony dom,
Trup, po którym przejdziemy bez drżenia —
Będzie bitwa ostatnia, bo nam
Nie potrzeba Italji z imienia.

Dzieło sztuki rozwali nasz pocisk,
Szlak jest stary i w starych ruinach
Krok podstępny, czujny i koci,
Nie zatrzyma się w drutach i minach.

Zapatrzone w niebo cyprysy,
Wiecznie wzniosłe i wiecznie bezradne
Dekorują, jak w teatrze kulisy
Akt tragedji: Italia Madre.

Podpowiedz suflerowi ostateczne słowa,
Pozdrowienie umarłych, ust nieżywych: ave!
Historjo zwalająca żołnierzy po rowach,
Na drodze rzymskiej chwały — legendarnie krwawej.

Widowni Europy ukaż, jak w finale
Krew zmywa hańbę ludzką i przebacza winy —
Patrz: aktor wojny na kolumnie staje,
Czekając, aż ogarnie go ciemność kurtyny.

od "Rysiów". Są już na "Widmie". "Widmo" zdobyte!

Wiesć rozchodzi się po szeregach. Serca łopocą. To nic, że ogień nie ustaje ani na chwilę, to nic, że pada kolega z prawej, że z lewa ktoś woła strasznym głosem: sanitariusz, sanitariusz! Naprzód!

Pierwsza schodzi kompanja porucznika Ł. Bronisława. Za nią tą samą ścieżką kapitan P. ze swoją kompanją, za nimi C.K.M-y, jeszcze jedna kompanja, Dowódca Baonu i Kompanja kapitana K.

Ścieżka, którą schodzi Bataljon, zdaje się być drogą do piekieł. Wszędzie ranni i zabici. Lwowiacy idą dosłownie przestępując przez trupy kolegów i rannych wołających o pomoc.

Jakiś żołnierz przystanął na chwilę. Przed nim leżą strzępy zabitego kolegi. Ani głowy, ani piersi. Rozrzucone kończyny. Żołnierz stoi minutę. Mocniej ściska w garści Thompsona. Ociera rękawem czoło. Już idzie naprzód. Musi iść. Przed nim poszedł kolega, za nim idzie następny.

Przy drodze leży ranny porucznik W. Bronisław. Melduje, że jego kompanję poprowadził za niego dowódca plutonu porucznik Z. Nie chce dać się ewakuować. Zbierze siły i dołączy do Bataljonu.

Bataljon idzie dalej.

W jarze pod "Widmem" jest już zupełnie jasne, że na Widmie toczy się ciągle walka.

Godzina 03:50. Bataljon rozwija się. Kompanje, każda na wyznaczonym odcinku wspinają się pod górę. Do szczytu około 200 metrów. Całe wzgórze, a szczególnie jego lewy stok pokryte zbitą gęstwą zarośli. Żołnierz za żołnierzem idzie po kilku wąskich przerąbanych w krzakach ścieżynach. Stok stromy. Miejscami spadek dochodzi do 50 stopni.

Do ognia moździerzy i artylerji niemieckiej dołączają się salwy niemieckich K.M.'ów i kule strzelców wyborowych, którzy pozostali w rozsiadanych między krzakami bunkrach, choć znakomitą większość schronów zmioły idące poprzednio "Wilki" i "Rysie". Siedzący w nich Niemcy przepuścili "Rysiów" i "Żbików", a teraz rażą z ukrycia wspinających się pod górę żołnierzy. Kompanje wyrzucają patrole i powoli metr po metrze pną się, likwidując niemieckie bunkry.

Schrony niemieckie na trasie bataljonu to krąglaki z dużych kamieni wysokie około 1 metra, a często niższe, ledwie wystające z nad ziemi. Wewnątrz podstawa wystarczająca na leżenie obok siebie kilku żołnierzy. Pomiedzy kamieniami szczyt strzelnicze. W dole głębokie podkopy wykute w skale często na głębokość le-

żącego człowieka. Wszystko doskonale ukryte w zaroślach.

Oto granatami zlikwidowano jeden z bunkrów. Wewnątrz znaleziono dwa trupy niemieckie. Tuż obok pojawia się chorągiew czerwonego krzyża. Pod dowództwem sanitariusza wyłazi z sąsiedniego niewidocznego dotąd bunkra pięciu Niemców. Ręce wzniezione w górę drżą konwulsyjnie. Skomlą o łaskę. Po chwili podchodzi do nich Dowódca Baonu. Krótkie pytania. Przekrzykują się nawzajem, podają numery kompanij swojej i sąsiadów z prawa i lewa. Podają miejsca innych bunkrów.

Już odchodzą do tyłu pod eskortą młodego żołnierza, w którego rękę drży ostrze bagnetu trzymanego nie-ludzkim wysiłkiem woli, by nie drgnąć tych, którzy sami przed chwilą siekli z ukrycia jego kolegów.

Znów z innego bunkru wyłazi czterech Niemców. Pierwszy krzyczy najgłośniej. Woła, że jest Austriakiem. Nie jest Niemcem. Nie pytany miota wiadomościami. Oddaje dokumenty. Przysięga, że na stoku niema min. Błaga, by zabrać jego ręczny zegarek, ale by go nie strzelać. Cały drży jak liść.

Niema czasu na rozmowy. Jeńców



Wejście do katakumb klasztoru w Cassino, zdobytego przez Polaków

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLYby
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 60 cents

Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

odprowadzają w dół. Kompanje pną się ku górze. Ogień niemieckiej artylerji przechodzi w nawały. Byle szybciej pod grzbiet.

Środek Baonu osiąga grzbiet w tym miejscu, gdzie sterczy zeń kikut zupełnie zrujnowanego domku. Jest tu major G. z baonu "Wilków" z resztką swej kampanji. Niema żadnej łączności, ani w prawo, ani w lewo, choć w prawo napewno walczą "Wilki". Jedno co pewne, to to, że na grzbiecie w lewo są Niemcy. Właśnie odparli ogień z C. K. M.'ów.

Baon momentalnie konsoliduje się w obronie. Dowódca Baonu obejmuje dowództwo nad znajdującą się w tym rejonie kompanją "Wilków", która straciła łączność z dowódcą ich Baonu.

Pułkownik D. ma więc jeszcze jedną, ale mocno przerzedzoną kompanję. Jedną ze swych kompanij pozostawia w odwodzie. C.K.M.'y kładzie tuż pod stokiem zajmowanego na przestrzeni około 800 metrów wzgórza.

Już dzień.

Trzeba rozszerzyć zdobyty teren, trzeba wyrzucić Niemców z grzbietu. W lewo naciera kapitan P., w prawo kapitan D.

Ogień niemieckiej artylerji i moździerzy nieco ustał. Za to niemiłosiernie piorą niemieckie K.M.'y i spanday z bunkrów. Co chwila z zupełnie nieprzewidzianego kierunku pada krótka śmiertcionośna serja. Chwila ciszy. I z zupełnie innego kierunku nowa serja.

Znowu jeden z bunkrów zdobyty. Trzy trupy niemieckie. Znowu wzięto dwu jeńców. Jeden z nich rzuca się na ziemię, całuje but stojącego nad nim z Thompsonem kaprala. Byleby go tylko nie strzelać. Chce żyć. Powie wszystko. Rzuca się do porucznika Sz., błaga o litość. Powie wszystko.

Porucznik Ch. z trzema żołnierzami zdobywa następny bunkier. Zało-

ga wybita granatami. Wyrzucają niemieckie trupy. Zajmują bunkier. Po kilku minutach, gdy porucznik Ch. chce się wychylić z bunkru, dostaje ogień L.K.M.'u. Ogień wznowia się za każdą próbą wychylenia się z bunkru. Widocznie bunkier jest pod obstrzałem z innego, którego nie sposób wykryć. Porucznik Ch. zamknięty w zdobytym bunkrze nie może go opuścić.

Rozchodzi się wieść o tym, że pułkownik ranny. Okazuje się, że pułkownik D. biegł do żołnierzy, którzy otoczyli Niemców. Potknął się na jakimś drucie. Upadł i to było jego szczęście. Druć był połączony z miną, która wybuchła raniąc pułkownika lekko odłamkami.

Podchorąży Gaża Edward zauważył niemiecki bunkier. Odbezpiecza granat. Podnosi się. Chce rzucić. W tym momencie dostaje serję z K. M.'u przez pierś. Pada zabity z zaciśniętym w rękę niewybuchłym granatem.

St. strz. Ł. podejmuje się do jakiegoś rannego. Okazuje się, że to niemiecki kapitan. Prawdopodobnie dowódca kompanji. Chce go opatrzeć i nachyla się z opatrunkiem. W tym momencie ranny uderza go nożem. Sanitarjusz pada. Wypadek widzą inni żołnierze. Nie mija minuty jak z niemieckiego kapitana zostają tylko strzępy.

Pułkownik D. zbiera dowódców kompanij. Wydaje szczegółowe rozkazy natarcia na wzgórze 575 i Balkon. Już wysłano patrole. Jest już południe.

Wtem staje się rzecz straszna. Na opanowany przez Lwowiaków stok kładzie się dosłownie lawina ognia ciężkiej artylerji. Wszystkie pociski lecą jak gdyby z kierunku własnej artylerji. Dowódca Baonu nadaje rozpaczliwie umówione sygnały: "Pomarańcze na "Widmie"! Pomarańcze na "Widmie"!

To Niemcy, zorjentowawszy się, że ich obrona na "Widmie" załamała się, koncentrują teraz na nim cały ogień swej ciężkiej artylerji, strzelającej z rejonu Belmonte, a więc zupełnie z tego kierunku, z którego strzela nasza artylerja.

Pułkownik wstrzymuje przygotowane natarcie.

Nieomal w tej samej minucie przychodzi przez radio rozkaz dowódcy brygady nakazujący konsolidację przed dalszemi działaniami. Znowu krótka odprawa dowódców kompanij.

Z gwałtownie ostrzeliwanego stoku żołnierze przeczozgiwiają się na stok, znajdujący się od strony niemieckiej, gdzie ogień chwilowo słabszy.

W tejże chwili na ten stok łoży się ogień ciężkich moździerzy niemieckich. Bataljon ściśnięty we dwa ognie trzyma się na samym nieomal grzbie-

cie, najmniej stosunkowo ostrzeliwanym.

Do pułkownika melduje się kapral z Dywizji Karpackiej. Ma C.K.M., ale jest prawie bez amunicji. Miał wspierać natarcie Karpackiej. Otrzymuje rozkaz zajęcia stanowiska. Kładzie C.K.M. tuż obok pułkownika D. Podnoszą mu trochę amunicji.

Z prawej strony alarmują, że zbliża się niemiecki wóz pancerny. Prawie że nie ma amunicji przeciwpancernej. Wystrzelano ją przy zdobywaniu bunkrów.

Z grzbietu widać wyraźnie, że istne piekło panuje również na sąsiednim wzgórzu zdobytym przez Dywizję Karpacką. Przez radio przychodzi wiadomość, że ze strony wejście czołgów na "Widmo" jest zupełnie możliwe.

Bataljon zastęga w pozycji obronnej. Teraz widać już zupełnie wyraźnie idące od strony niemieckiej natarcia. Zwiastuje je również piekielny łożący się na obie strony ogień.

Z prawej strony znowu lecą serje niemieckich C.K.M.'ów. Żołnierze Lwowskiego Baonu jakby nie słyszeli już nic. Plutonowy Gorgolewski Stanisław wychyla się ze swego stanowiska. Serja C.K.M.'u podcina mu obie nogi. Jeszcze podnosi się, krzyczy strasznym głosem: Strzelać w nich! Druga serja przecina go przez pierś. Nieludzki krzyk: Strzelać! Trzecia serja trafia w głowę.

Już niema opatrunków.

Niemieckie natarcie zbliża się.

Po linii leci komenda: bagniet na broń!

Milkną C.K.M.'y Baonu. Obsługa tzech C.K.M.'ów wybita lub ranna. Zabity celowniczy z Karpackiej przy swym C.K.M.'ie.

Przez radio idzie meldunek do dowódcy brygady, że Baon prawdopodobnie będzie się musiał wycofać. Pułkownik D. prosi o decyzję.

Godzina 13.00 w południe. Skwar, w którym poruszają się ciężko.

Już słychać wyraźnie huk motorów czołgów niemieckich. Kilkadziesiąt metrów przed pozycjami Baonu ognie z niemieckich miotaczy płomieni. Już lecą niemieckie granaty. Przed majorem O. wybucha istna fontanna ognia.

Pułkownik daje rozkaz do wycofania się. Bataljon nie ma ze sobą broni przeciwpancernej. To zadecydowało. Pozaatem kończy się amunicja.

Lecz czołgi niemieckie nie dochodzą. Później okazało się, że dostały się w ciężki ogień naszej artylerji i dział z naszych czołgów, stojących na lewo od wzgórza "Widmo".

Bataljon cofa się ostrzeliwując.

Opadający z sił żołnierze w południowej spiekocie, w straszliwym ogniu niemieckiej artylerji przedzierają

się przez krzaki schodząc w dół "Widma".

Schodzący dostają się znowu w ogień zaczajonych jeszcze tu i ówdzie po bunkrach strzelców niemieckich.

Rozkaz cofania się nie doszedł do wszystkich. Między innymi nie otrzymali go "Wilki" mjr. G.

Porucznik Ch., siedzący w rażonym z sąsiedniego bunkru schronie, ani nie mógł go otrzymać, ani wyjść ze schronu. Pozostał tam przez cały następny dzień. Wycofał się dopiero w nocy. Podobnie zostało 40 szeregowych i dwu oficerów z baonu lwowskiego. Największa to była radość dla Baonu, gdy jeden po drugim na drugą noc zagubieni żołnierze zgłaszali się w Baonie.

Kapitan P. otrzymuje znowu wiadomość, że pułkownik D. ranny i pozostał w bunkrze na grzbiecie. Zbiera resztę swej kompanji. Zdobywa ponownie bunkier zajęty już przez Niemców. Pułkownika niema. Wycofał się inną ścieżką. Kapitan P. wycofuje się ponownie.

Droga powrotna z "Widma" jest jeszcze straszniejsza. Wszędzie w krzakach leżą ranni koledzy. Wołają, by ich nie zostawiać. Oto leży ktoś z roztrzaskaną nogą przywiązaną do karabinu. Tu inny żołnierz ze złama-

ną ręką wciśniętą między dwa ułamane z krzaków kije: nie zostawiajcie mnie Niemcom.

Pułkownik bierze od dwu żołnierzy karabiny. Żołnierze podbierają rannych mogących się nieco wlec kolegów.

Z "Widma" schodzą żołnierze tak wyczerpani, że w największym ogniu ten i ów pada i zasypia.

Idą żołnierze, którzy przeszli jedną bitwę. To nie tylko jeniec niemiecki zeznał, że od 27 miesięcy jego walk na różnych odcinkach nie był w takim ogniu artylerji. Pułkownik D. mówi, że wolałby przejść cztery poprzednie wojny od nowa, niż ten jeden dzień.

Bataljon zalega na pozycjach obronnych "Żbików". Tu znowu dostaje się pod silny ogień. A może lepiej było zginąć tam na "Widmie", jeśli już trzeba było ginąć.

Pułkownik melduje do brygady konieczność wsparcia odcinka nowymi siłami.

I wtedy przychodzi rozkaz: trzymać się, idzie nowy bataljon Niemców.

Zdawało się niezdolni do żadnego już ruchu, obojętni na wszystko, bezwładnie leżący na pozycji Lwowiaczy znowu ścisną broń. Ten i ów gotuje granat. Ale Niemcy nie podchodzą.

Żołnierze kładą się znowu pomiędzy broniących odcinka "J" — Żbików. Z zapadnięciem zmroku pomiędzy leżących na pozycjach żołnierzy podczołgiewują się coraz to nowi żołnierze świeżego Baonu. Nie mówią do siebie nic. Tylko patrzą na siebie nawzajem. Wiedzą, że ci świeżo przybyli, którzy już także po drodze przeszli przez ogień, już mają dwu zabitych i kilkunastu rannych — utrzymują ten odcinek. A jutro oni lub inni pójdą, by ostatecznie opanować "Widmo".

Ogień niemiecki słabnie. W pewnych chwilach cichnie zupełnie.

Z Brygady przychodzi rozkaz: Baon przejdzie w rejon wyczekiwania do wąwozu, skąd odejdzie do odwodu Dywizji.

Pod osłoną nocy idą przerzedzone szeregi Lwowiaków, a z nimi tą samą drogą spływają na bantamach ci, którzy własną krwią zrosili dziś tak obficie szare Apenińskie skały.

I tu dopiero w dole dochodzi wiadomość: Dowódca VIII Armji stwierdza, że dzięki związaniu na odcinku Polskiego Korpusu największych niemieckich sił mogło skutecznie rozwinąć się na południe od Cassino natarcie oddziałów brytyjskich, które idzie pomyślnie. Rzeka Rapido sforsowana na długości 3 kilometrów.

ALEKSANDER JANTA

*Niebo pełne jest nocy — wiatr ciągnie ugorem,
zguba w myślach się lęgnie. Gdzie wolności hasło
odkąd przez czarną pustkę błysło meteorom,
zmyliło czujne oczy i w ciemnościach zgasto?*

*Świata, w którym się gubi kierunek i droga
nie zbawi krew ni skarga dobyta z czeluści.
Gdy kur zapiał potrzykroć znów zaparł się Boga
Piotr. Lecz Bóg go zapomniał. I już nie odpuści.*

*I nie przebaczy żadnym nawet przemilczenia
prawdy, choć jej królestwo nie jest z tego świata,
bo On dla niej krzyż dźwigał na Górę Cierpienia
gdy ci umyć chcą ręce za wzorem Piłata.*

WIDZENIE WIARY

*Jak ten wielbłąd biblijny i to ucho igły
przez które przejść mu trzeba, tak żyjemy smutni,
zapatrzeni w sny własne, obraz niedościgły
romantyczne brzęczenie pszczół, lipy i lutni.
Ale w ulach się wylągl rój drapieżnych trutni
i ciepłe plastry miodów na kamień zastygły,*

*a tam, gdzie dotąd świerszcze polną ciszę strzygły
kruki kraczą i kradną krwawe ścierwo kłótni.*

*Niema myślom spoczynku, dla serc pocieszenia,
schną i giną bez miejsca, bez nieba, bez ziemi,
traciły ją postokroć. I nic się nie zmienia
i wszystko się rozpadnie, choć jeszcze trwa krucho,
prócz tej wiary, żywionej sercami mocnemi,
Ze jednak przejdzie wielbłąd przez igielne ucho.*

WIKTORJA JANDA

CZEMU TY MI SIĘ ZAWSZE ŚNISZ?

*Czemu ty mi się zawsze śnisz o świecie,
Idąca ku mnie w srebrnych blaskach dnia
Z gwiazdami w oczach i cała w rozkwicie
Ust świeżych maków — lśniących w rannych mgłach,
W cudzie warkoczy pomieszany splocie,
Płynących z ramion na piersi twych pęk
Jak dwa strumyki wykąpane w złocie
Słońca halnego i uroczych łęk.
W tych snach szczęśliwy — wyciągam ramiona,
Zrywam się, lecę do twych białych rąk
By je całować, I do twego łona
By na nim złożyć głowę pełną mak —
I spadam w otchłań twojego cierpienia.
Lecz wtem się budzę cały bez wytchnienia.*

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

Gdzie będą Sowiety po wojnie?

(STUDJUM EKONOMICZNE)

Komunizm, podobnie jak socjalizm jest w zasadzie doktryną ekonomiczną, traktującą sprawę podziału dóbr w społeczeństwie. Teoretycy socjalizmu stoją na stanowisku, że swobodna gra czynników ekonomicznych, inaczej mówiąc — kapitalizm, prowadzi do niesprawiedliwego podziału dóbr, do koncentracji bogactw (a co za tem idzie — siły) w ręku nielicznych grup społecznych, a to znowuż pociąga za sobą upośledzenie pozostałej części ludności — szerokich mas pacujących. Reformy społeczne, przeprowadzane pod wpływem socjalistów prawie we wszystkich krajach, miały na celu wyrównanie nadmiernej różnicy. Tak zrodziło się ustawodawstwo ochrony pracy, reformy rolne, ograniczenia prawa spadkowego. Swobodna gra czynników ekonomicznych została w ten sposób poważnie skrepowana.

Doktryna komunistyczna idzie dużo dalej po tej samej drodze. Lapidarnie mówiąc, ustrój komunistyczny usuwa jakąkolwiek grę czynników ekonomicznych. Likwidując nawet prawo własności, odbiera jednostce dyspozycję w zakresie produkcji dóbr, a tem bardziej obrotu niemi. Dyspozycja przechodzi do samego społeczeństwa: do państwa, a w dalszej perspektywie do ludzkości.

Przeciwnicy ingerencji państwa do gry czynników ekonomicznych, inaczej mówiąc: zwolennicy "wolnego handlu", starają się udowodnić, że ingerencja taka hamuje rozwój ekonomiczny, wypacza jego kierunek, osłabia wysiłek przedsiębiorcy. Mówi się przytem o prawie podaży i popytu, które jest prawem natury w życiu ekonomicznym i samo wyrównywa nierówności.

Jak zwykle we wszystkich sporach, prawda leży pośrodku i obie strony mają rację. U nas w Polsce próby ingerencji państwa do życia ekonomicznego nazywaliśmy etatyzmem. Mieliśmy wśród nas gorących przeciwników etatyzmu, widzących w nim początek każdego zła, ale mieliśmy także równie entuzjastycznych szermierzy upaństwowiania coraz to nowych dziedzin życia ekonomicznego. I znowuż obie grupy miały rację. A może zresztą byłoby ściślej powiedzieć odwrotnie: obie grupy nie miały racji, gdy uderzały w doktrynerstwo. Manja upaństwowiania uzdrowisk i budek z wodą sodową napewno była szkodliwa, zamiary przeraastały nie tylko nasze możliwości,

ale i potrzeby. Przesadą było również zasadnicze negowanie praw państwa do ingerencji w dziedzinie gospodarczej. Ingerencja taka jest coraz częściej i coraz bardziej nieunikniona.

Ne ulega wątpliwości, że we współczesnym skomplikowanym obrocie ekonomicznym niejednokrotnie natura sama sobie nie da rady. Skala produkcji, różnorodność produkcji, skala i różnorodność konsumpcji, postępy techniki, zmieniające w sposób rewelacyjny sposoby i koszty wytwarzania dóbr, olbrzymi rozwój środków komunikacji — oto główne czynniki które sprawiają, że naturalne prawa ekonomiczne, z prawem podaży i popytu na czele, regulują sytuację niedostatecznie szybko i niedosyć skutecznie. Już w osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia przyszły na świat pierwsze wielkie kryzysy gospodarcze, które odtąd coraz to powracają. Ekonomiści wypracowali teorię kryzysów, która zresztą jest niczem innym, jak stwierdzeniem faktu, że oto niczem nieskrepowana rozbudowa produkcji w okresach tak zwanej konjunktury po latach dopiero wychodzi społeczeństwu bokiem w postaci przesytu rynków, nieproporcjonalnego spadku cen, a więc nierentowności produkcji i nieuniknionego w tych warunkach bezrobocia. A gdy następnie w okresie zastoju produkcji nadmiar towarów zostanie wyprzedany — prawo podaży i popytu dochodzi nanowo do głosu — i oto nastaje nowy okres "prosperity". I tak dalej w kółko.

Socjaliści i komuniści nazywają te objawy "przerostami kapitalizmu". Słusznie stwierdzają, że ta zmienność konjunktur uderza przede wszystkim w masy pracujące, a przytem coraz to przyłapują kapitalizm na tem, że świadomie komplikuje sytuację. Tu pojawiają się opowieści o machinacjach trustów, o międzynarodowych zмовach w sprawie cen, a umyślnem niszczeniu nadmiernych pasów towarów.

Być może, że w tej nieco doktrynerskiej krytyce jest sporo przesady. Nie da się jednak zaprzeczyć, że pomimo rosnącej reglamentacji życia gospodarczego wymyka się ono z pod naszej kontroli i coraz częściej stawia nas w obliczu sytuacji wręcz absurdalnych. Przedewszystkiem jednak świat kapitalistyczny nie znalazł dotąd skutecznego środka na najstraszniejszą ze wszystkich klęsk ekonomicznych — na plagę bezrobocia.

Toteż dziś wszyscy są zgodni w tem, że dotychczasowa reglamentacja życia gospodarczego nie wystarcza. Coraz głośniejszą mówi się o tem, że po wojnie formy ustrojowe w poszczególnych państwach będą musiały być jeszcze bardziej zradycalizowane. Ta perspektywa może nie podobać się wielu z nas, ale na to niema rady. To jest właśnie naturalny kierunek rozwoju gospodarczego świata: ewolucyjna, a przytem coraz szybsza przebudowa obecnego ustroju czysto kapitalistycznego na ustrój gospodarki planowej. Stawanie w sposób doktrynerski napoprzek tego prądu znaczyłoby tyleż, co próba wstrzymania biegu rzeki. Trzeba pójść z prądem i jedynie regulować jego bieg.

Czekają nas po wojnie wielkie reformy socjalne i ekonomiczne. Ludziom mniej cierpliwym może wydawać się, że gdy jest źle — lepiej jest zabrać się do sprawy radykalnie: zamiast latać zło i dalej ograniczać swobodną wymianę dóbr — skończyć z nią raz na zawsze, t. j. skomunizować środki produkcji i wymiany, przyjąć doktrynę komunistyczną w pełni.

Każda reforma ma jednak granice naturalne w postaci możliwości technicznych jej wykonania. Stąd konieczność ewolucji. Zresztą rewolucja w dziedzinie ekonomicznej jest w każdym razie absurdem. Cały świat, gdyby połączył swoje wysiłki, nie miałby ani ludzi ani organizacji, która potrafiłaby przejąć to wszystko, co wykonywuje dziś inicjatywa prywatna. Możemy zrobić jedno tylko: systematycznie organizować się w kierunku gospodarki coraz bardziej planowej. Powinniśmy podwoić, potroić nasze wysiłki, ale zawsze w granicach realnych możliwości danego społeczeństwa.

Przypuśćmy, że każde państwo osiągnęło wreszcie zamierzony cel: ujęło mocno w swoje ręce ster życia gospodarczego kraju. Czy na tem koniec? Nieodzownie przychodzi etap drugi: **planowe skoordynowanie działalności gospodarczej poszczególnych państw**. O ile bowiem inicjatywa jednostki w gospodarstwie narodowym wszędzie na świecie została już poważnie ograniczona, to inicjatywa poszczególnego państwa w gospodarstwie światowym jest w dalszym ciągu wolna od jakiegokolwiek skrepowania. Pod tym względem panuje na świecie liberalizm kompletny! Nawet najmniejsze państewko wolno jest budować mury celne, zamykać grani-

ce dla obcego importu, odmawiać innym państwom surowców, które posiada i t. d. Zachodzi anomalja: swobodna gra czynników ekonomicznych jest ograniczona w jej stadjum początkowym, a jest niczem nieskrępowana w jej stadjum dalszem — międzynarodowym. We wszystkich krajach odebrano trustom ich przywileje, a jednocześnie powstały jeszcze potężniejsze trusty w postaci państw, planowo regulujących gospodarkę wewnętrzną i występujących na terenie międzynarodowym w roli wolnego kupca, czasem nawet w roli pirata.

Tu właśnie leży początek zła we współczesnej ekonomice świata i to jest punkt, decydujący wręcz o przyszłości. Obecna wojna nie usprawiedliwi cierpień i ofiar, ponoszonych przez ludzkość, jeżeli w jej wyniku nie zostanie zawarta wielka umowa wszystkich państw, udostępniająca każdemu z nich źródła surowców światowych, rozdzielająca pomiędzy kraje w sposób sprawiedliwy i racjonalny zadania produkcyjne, chroniąca płace i ceny, oraz — przez zniesienie barjer celnych — udostępniająca jednemu rynki zbytu, innym dostęp do potrzebnych im produktów. Ewolucyjny rozwój gospodarki planowej, w przeciwstawieniu do swobodnej gry czynników ekonomicznych — musi wyjść na teren międzynarodowy. Bez tego stanie bezsilny wobec szeregu problemów, których nawet najsilniejsze państwo nie potrafi dziś załatwić "sposobem domowym". Przyszłemu moment, że trzeba ograniczyć swobodę gospodarczą poszczególnych państw — jednakowo małych i du-

żych, a może przedewszystkiem dużych.

Ten fakt rozumieją dziś bodaj we wszystkie kraje. Świadczą o tem głosy prasy oraz oświadczenia kierowników polityki tych krajów.

A cóż Rosja Sowiecka? Zdawałoby się, że państwo, które głosi o sobie, że wcieliło w życie ustrój komunistyczny, pierwsze przystąpić powinno do "międzynarodówki gospodarczej".

Można z góry przewidzieć, że tak nie będzie i że właśnie komunistyczna Rosja stanie na przeszkodzie ewolucyjnej przemianie "zgniętego" kapitalizmu na ustrój gospodarki planowej. Czyż można przypuszczać, że Sowiety po wojnie skwitują z izolacjonizmu gospodarczego, dopuszczają do siebie obce towary i obcych kupców, otworzą szeroko drzwi dla współpracy z resztą świata? Przecież wydałoby się wówczas wieloletnie kłamstwo o raju sowieckim i o upośledzeniu mas pracujących w krajach kapitalistycznych!

Partja komunistyczna doszła w Rosji do władzy pro prostu dlatego, że nadarzyła się okazja zagarnięcia władzy. W 1917 roku w chaosie rosyjskim lepszy był ten, kto miał na sprzedaż hasła najbardziej czerwone. Komuniści przyszli z pięknymi hasłami, ale mieli tylko hasła i oczywiście żadnej organizacji, która byłaby w stanie wcielić w życie wielkie reformy socjalne, proklamowane przez teorię. Lenin znalazł formułkę dla tej sytuacji. Mówił i pisał, że zanim zacznie się budować coś nowego, trzeba przedewszystkiem zburzyć stare. A żeby nie być skrępowanym w budo-

wie nowego życia, trzeba w starym życiu zburzyć jednakowo wszystko: rzeczy złe i rzeczy dobre. W tym punkcie, jak w wielu innych, rosyjski komunizm w praktyce okazał się raczej anarchizmem czy nihilizmem.

Zaczęto więc burzyć — i przez 27 lat zburzono skutecznie wszystko, tworząc wzamian jedno tylko: potęgę militarną, która jest potrzebna do dalszej burzycielskiej roboty — już poza granicami Rosji. Zniszczono przedewszystkiem ludzi. Toteż potem nie starczyło Sowietom ani ludzi ani sił na zorganizowanie dobrobytu mas rosyjskich — a o to przecież komunizmowi chodziło w teorii. Eksperyment rewolucji ekonomicznej nie udał się, ale eksperymentatorzy ukryli prawdę przed swoim ludem. Poza Rosją jednak dziś każdy wie, że masy rosyjskie żyją w nędzy, jakiej nie zaznały nawet za czasów carskich.

A tymczasem reszta świata poszła daleko naprzód w ewolucyjnym rozwoju socjalnym i oto doszła do punktu, w którym droga kończy się i gdzie trzeba przebić się przez międzynarodowe barjery gospodarcze. A do tego potrzeba solidarnej akcji całego globu ziemskiego, w którym to globie Rosja dzierży w swoim posiadaniu jedną piątą terytorjów.

Po wojnie będziemy świadkami paradoksalnego zjawiska: kraje kapitalistyczne podejmą inicjatywę daleko idących reform socjalnych, a pseudo-komunistyczna Rosja będzie uniemożliwiała te reformy. Kto wie może właśnie w tej małej oczekiwanej sprzeczności ideologicznej leżą zalążki przyszłych wojen światowych.

THE BOUNDARIES OF POLAND

Instead of giving Poland the customary pat on the back on this anniversary, let us Americans discuss a question which, if we will not admit it, confronts us today, will certainly confront us immediately after the shooting stops. This is the so-called Polish boundary question. Let us politicians discuss it, not as a fine political opportunity to garner a few Polish votes in our own districts, but as a patriotic opportunity to face a problem which concerns not only the Poles and the Russians, but all Europeans and all Americans. For in the question mark that today is the Polish boundary lies the answer to peace in Europe when this war is over.

In the January declaration the Soviet Government stated that it stands for the reestablishment of a strong and independent Poland.

But a Poland robbed of about 10,000,000 of her citizens, or nearly one-third of her entire population, even should she seize land from Germany, as Russia suggests, could be neither strong nor independent. She would be a puppet state. Her strings would be manipulated from the Kremlin.

It is plain to all thoughtful Americans that the question of the Polish boundary is not whether after the war we will have a strong and independent Poland or a weak and subservient Poland. It is not a question of the future of the Ukrainian and the Byelorussians, the Poles, and the Russians. It is a question of whether the millions of men of all the United Nations who have died in this second war for democracy and a better world have died in vain. It is a question of whether the Europeans and Americans and British who survive them will be worthy of their sacri-

fices for a free Europe. Without a free and democratic Poland a free and democratic Europe is impossible.

CONGRESSWOMAN LUCE
Connecticut

AMERICA WILL HELP

America, and I trust the world, will understand the noble aspirations of the Poles and, at the proper time, will sustain them. The best evidence of the caliber and character of Poland and her valiant sons and daughters are to be found in the glorious pages of her terrain which was a true symbol of her defense of all that we in this country, in our hearts, hold near and dear, and for which millions of our young men and women have undertaken to bare their breasts to the fire of the same common enemy.

CONGRESSMAN DINGELL
Michigan

ROMAN FAJANS

“POLISH PARADE”



Taniec góralski

Nie tak dawno w jednym ze śródziemnomorskich portów Egiptu garstka przyjaciół w polskich mundurach żegnała odpływający do Europy zespół artystyczny “Polish Parade”. Kilka mocnych uścisków dłoni, trochę serdecznych życzeń na dalszą drogę i oto odbił powoli od portowego nabrzeża wielki transatlantyk polski, na którego pokładzie artyści nasi i artystki popłynąć mieli do Włoch. I zakończyła się w ten sposób dwuletnia niemal epopea polskiego teatru żołnierskiego w krajach Środ-

kowego Wschodu. Zamknięte zostało jedyne w swoim rodzaju tourné artystyczne, przypadkowe zgoła i nieprzewidziane, jak tyle zjawisk w tej wojnie.

Nikt nie układał z góry marszrutę tego teatru żołnierskiego, żaden z kierowników jego nie wiedział nigdy, gdzie zespół grać będzie za miesiąc lub dwa. Miejsca te zależne były nie od żadnych wyrachowań repertuarowych ani kasowych, lecz poprostu od rozkazów dowództwa armji. Tam, dokąd w swej wielkiej wędrówce ciąg-

nęły szeregi armji polskiej na Wschodzie, szedł za nimi zespół artystów naszych w mundurach. Gdzie wojsko rozbijało swe namioty, tam grał mu ten teatr żołnierski, nazwany później na całym Środkowym Wschodzie “Polish Parade”. Ze po drodze, gdy tylko było to możliwe, zawadzało się też o to czy tamto miasto, że grało się w ten sposób i w Teheranie i w Bagdadzie, w Kirkuku i Tel Avivie, w Jeruzolimie, Kairze i Aleksandrji — to już rzecz przypadku. Miasta te położone były w pobliżu trasy owej żołnierskiej wędrówki, skorzystano więc ze sposobności i pokazano tysiącom miejscowych widzów polskie widowiska.

Ale to, powtarzam, działo się niejako na marginesie zwykłego życia zespołu. A tym zwykłym, codziennym życiem było granie dla wojska, były setki przedstawień pod gołym niebem i jasno błyszczącymi gwiazdami, wśród bezkresnej pustyni i monotonna stepu, na platformach zestawionych samochodów ciężarowych, na estradach, naprędce skleconych z desek, lub zgoła na piasku i kamieniach. Tą rzeczywistością dnia codziennego były próby na przypadkowych m. p., gdzie jakie takie podium dla tancerzy lub rozklekotany fortepian stanowiły szczyt romantycznych marzeń, było bytowanie pod namiotami, które nieraz rozszarpywał hamsin lub zalewał ulewny deszcz, była twarzą żołnierska dola, piękna i heroiczna, lecz bynajmniej nie tkliwa dla tych, którzy ją wybrali. I jeśli nie łatwa jest ta dola dla zwykłych żołnierzy, ćwiczących broń i gotujących się do bojowych wyczynów, to jakże trudna była ona dla tej garstki artystów obojga płci, których los rzucał na tułaczczą wędrówkę.

Weź mapę, Czytelniku miły i nakreśl sobie na niej szlak tej wędrówki z Rosji do Iranu, poprzez Pahlawi i Teheran, do Iraku poprzez Bagdad i Kirkuk, potem Palestyna z Jeruzolimą, Tel Avivem i Haifą i wreszcie dwukrotnie Egipt z Kairem i Aleksandrją. A ileż zwykłych, żołnierskich etapów po drodze, etapów, których miejsca nie mają nazw i nie są oznaczone na żadnej mapie, etapów, gdzie co najwyższej resztki podmurowań pod namioty i poczerniałe od ognia miejsca na pustyni świadczą, że bawili tu przez chwilę polscy artyści. I pomyśl teraz, jak trudno w takich warunkach pisać teksty, kom-

ponować melodje, próbować tańce i skecze.

Przez prawie całe dwa lata byłem naoczny świadkiem pracy i sukcesów artystów Czołówki. Rozchodziły się czasem nasze drogi, ale zawsze krzyżowały się niebawem znowu. Brałem udział w montowaniu ich spektakli w Teheranie, Bagdadzie, Kairze i Aleksandrji. Całym sercem uczestniczyłem w ich radościach i troskach. Udzielałem o nich niezliczonych informacji prasie i zagranicznym wielbicielom naszego teatru. Skrzętnie zbierałem artykuły i recenzje o nim. I stwierdzić muszę jedno: to grono aktorek i aktorów, muzyków i tancerzy dokonało tu, na Środkowym Wschodzie, wielkiej i rzetelnej pracy dla sprawy polskiej. Przyznać to musi każdy, kto, jak ja, był świadkiem ich niebywałych sukcesów we wszystkich niemal stolicach Środkowego Wschodu, kto widział wyprzedane do ostatniego miejsca przedstawienia w tak wielkich ośrodkach, jak Kair lub Aleksandrja, kto śledził uważnie pochwalne głosy prasy tutejszej i entuzjastyczne przyjęcie Czołówki polskiej przez publiczność. Dzięki naszemu zespołowi wojskowemu liczne tysiące obywateli krajów Środkowego Wschodu ujrzaly po raz pierwszy polskie tańce i stroje ludowe, usłyszały polskie piosenki i melodje, poznały polski humor. Dziesiątki tysięcy żołnierzy alianckich, po większej części brytyjskich i amerykańskich, widziało przedstawienia naszej Czołówki w Iranie i Iraku, Palestynie i Egipcie, przy okazji niezliczonych występów po obozach. Artyści polscy grali przed królem egipskim Farukiem, królem greckim Jerzym, młodocianym królem i regentem Iraku, szachem Iranu, najwyższymi dowódcami armij alianckich, takimi jak generałowie Wilson, Paget, Pawnali, Royce i wielu innych. Grali żołnierzom VIII armji brytyjskiej i marynarzom “Royal Navy”, załogom polskich okrętów wojennych i wielu, bardzo wielu oddziałom RAF’u.

Czy zdajesz sobie sprawę, Czytelniku miły, co to wszystko znaczy? Ile tysięcy cudzoziemców (a wśród nich iluż wybitnych) poznało dzięki temu i polubiło serdecznie polski taniec i muzykę, polski strój ludowy i wogóle... Polskę? Czy wiesz, że dziś jeszcze, gdy w Kairze lub Aleksandrji wspomina się Polskę, niema prawie wypadku, by Anglik, Amerykanin lub Egipcjanin nie kojarzył jej z “Polish



Ludowa scena komiczna

Parade”, z polską piosenką i tańcem, ze wspomnieniem tak bardzo popularnych tu sylwetek artystów naszej Czołówki wojskowej? Oni dokonali na Środkowym Wschodzie dzieła propagandowego o takim zakresie i skuteczności, jak nikt nigdy przed nimi. Możemy zżymać się, że Egipcjanie i Iracy, Persowie i Żydzi palestyńscy poznali i pokochali Polskę właśnie dzięki tej tak pogardzanej przez niektórych naszych krytyków i wiezionych malkontentów “rewji”. Możemy stokroć stwierdzać, że nie jest po-

žadane, by tysiące żołnierzy angielskich i amerykańskich urabiało sobie w takim momencie obraz Polski rozśpiewanej i roztańczonej. Możemy zarzucać co cheemy programom Czołówki i jej wykonawcom. To wszystko jednak nie zmienia faktu, że o wszystkich innych polskich imprezach propagandowo-kulturalnych na Środkowym Wschodzie nie napisano w prasie tutejszej nawet czwartej części tego, co o “Polish Parade”. Ze dziesiątki tysięcy cudzoziemców w ciągu dwu lat niemal walczyło poprostu o miejsca i

bilet wstępu na jej przedstawienia. Ze przez szereg wieczorów natłoczone do ostatniego miejsca olbrzymie sale Kairu i Aleksandrii powtarzały chórem, w ślad za naszymi artystami, polską piosenkę o polskim Lwowie. Ze dzięki Czołówce cudzoziemcy owi nabrali szczerzego sentymentu dla Warszawy i Krakowa, Poznania i Wilna, dla naszych tańców góralskich, krakowiaka i mazurka, dla uroku polskiej wsi, dla melodii Wieniawskiego, Moniuszki, dla warszawskich i lwowskich piosenek, dla polskiego umiłowania piękna.

Gdy w końcu lipca 1942 r. przybyłem do Teheranu, artyści nasi bawili tam już od niejakiego czasu. Teatr ukończył był właśnie reorganizację i rozpoczynał serję przedstawień, które zapoczątkować miały jego tryumfalną karierę w krajach Śr. Wschodu. Podlegał on w owym czasie kierownikowi terehańskiego Referatu Kulturalno-Oświatowego Bazy, mjr. Ludwikowi Naimskiemu, Zięć Tebmajerów, człowiek nader wrażliwy na piękno, a przytem doskonały organizator, Naimski był w dziedzinie teatru zupełnym laikiem, a jednak, pomimo to, należał do tych nader rzadkich ludzi, którzy, nie mając nic wspólnego ze światem ramp i kulis, posiadają jednak zmysł i wyczucie sceniczne. Pokochał on zespół Czołówki całym sercem i był mu podczas całego paromiesięcznego pobytu w Teheranie prawdziwym ojcem. On był właściwym twórcą "Polish Parade", uczynił Czołówkę tym, czym była ona później i jemu w znacznym stopniu przypisać należy zasługę jej dalszych sukcesów.

Obok niego dwoma najważniejszymi filarami teatru byli już wówczas i pozostali do ostatniej chwili: kierownik literacki Ref-Ren (Feliks Konarski) i szef orkiestry, Henryk Wars. Pierwszy był autorem wszystkich niemal wykonywanych przez zespół tekstów, drugi twórcą całej niemal muzyki. Sekundował im dzielnie kierownik baletu, znany tancerz, Jerzy Ney, któremu partnerka jego, Sława, niewątpliwie zawdzięcza swą dzisiejszą wielkość i renomę.

Zespół teatru był już wówczas taki sam niemal, jakim, z niewielkimi zmianami, pozostać miał przez prawie dwa lata. Była w nim Zosia Terné z Warszawskiego "Qui Pro Quo", Renata Bogdańska, Irena Różyńska, Nina Oleńska z Krakowa, Sława Ney, Elżbieta Niewiadomska, Janina Jakubówna, Bronisława Pruszyńska. Był wzmiankowany już Ref-Ren, Bolesław Kersen, który w Teheranie pełnił funkcje konferenciera i zastąpiłony w nich został później przez Gwidona Boruckiego, Ludwik Lawiński z "Qui pro Quo", Feliks Fabian, który w roli Charlie Chaplina zabłysnął miał później jako gwiazda pierwszej

wielkości, Stanisław Ruszała, Feliks Ende i Ludwik Olszyński.

Dobór zespołu okazał się od samego początku wyjątkowo szczęśliwy. Był to zespół zgrany i funkcjonujący, jak doskonały, czuły na każde skinienie kierownictwa instrument. Pracował przytem z niezwykłym entuzjazmem i oddaniem. Pamiętam jego próby, odbywane w teherańskim ogródku "Continental" (była tam scena letnia, na której teatr nasz występował przez dłuższy czas). Ciągnęły się one całymi godzinami, często bez chwili wytchnienia. Wszystko musiało być doskonałe, wycieniowane, "zapięte na ostatni guzik". Tej wielkiej staranności w przygotowywaniu programów zawdzięczała Czołówka w znacznej mierze swe późniejsze sukcesy.

Pamiętam dobrze pierwsze przedstawienie Czołówki, jakie widziałem w Teheranie. Odbywało się ono w przeprowadzonym publicznością miejscową "Continentalu". Armja nasza była wówczas częściowo w Palestynie, częściowo zaś (drugi rzut) przybywała dopiero z Rosji i nie zatrzymując się wcale w Iranie, udawała się wprost do Iraku. Wojska naszego było w Teheranie bardzo mało i zespół grał przeważnie dla publiczności miejscowej, zarabiając poważne sumy i umożliwiając w ten sposób pokrycie pozostałych wydatków Samodzielnego Referatu Kulturalno-Oświatowego.

Owa publiczność miejscowa, bardzo mieszana i różnojęzyczna (Anglicy, Persowie, Grecy, Ormianie itd) nie była wcale problemem łatwym. Trzeba było zmontować dla niej przedstawienie tak, by zrozumiała o co chodzi. Przy numerach orkiestrowych i tanecznych, ostatecznie przy piosenkach, było to nie trudne. Jak jednak pokazać jej skecz, co zrobić, by zrozumiała humor i dowcip danej sceny? Wybrnięto i z tych trudności. Kersen doskonale "wprowadzał" widzów po francusku, przez swą konferensjerkę. Do dialogów wplataną tu i ówdzie francuskie słowa, które potrafiły utrzymać dostateczny kontakt między aktorami i widownią.

Repertuar był już w owym czasie oparty w większej części na tych numerach, które i później, do samego końca, stanowić miały żelazne podstawy programów. Były już więc wspaniałe tańce akrobatyczne Neyów, mazurek i taniec zbójnicki Niewiadomskiej i Olszyńskiego, tańce ludowe Jakubówny i Pruszyńskiej, piosenki Zosi Terné i Renaty Bogdańskiej ("Warszawa" i "Dżumi"), świetne Chapliniady Fabiana, o których wieść miała dotrzeć później aż do Hollywoodu, kapitalne skecze i groteski Lawińskiego, Oleńskiej, Ruszały i Endego. Z biegiem czasu dodawano, o-

czywiście, rozmaite nowe numery, nieraz bardzo dobre, ale sam kościec programu pozostał naogół niezmienny. Już wtedy, w Teheranie, na ogrodowej scenie "Continentalu", "Polish Parade" była całkowicie sobą i stanowiła, zarówno personalnie jak i programowo, skryzalizowaną, dojrzałą całość.

To pierwsze przedstawienie, jakie widziałem, dało mi wiele do myślenia. Zdziwił mnie nieoczekiwanie wysoki jego poziom, artyzm poszczególnych numerów, a przedewszystkiem swisty i nieodparty czar, jaki emanował z tego zespołu wojskowego, bawiącego się na scenie nie gorzej napewno, niż widzowie w fotelach. Powiedziałem sobie wtedy odrazu, że z tego zespołu uczynić będzie można pierwszorzędnym instrumentem propagandowym. Rzeczywistość jednak przewyższyła moją najśmielszą nadzieję.

Przez trzy miesiące Czołówka występowała w Teheranie, najprzód w "Continentalu", później w "Astorii" (inna scena ogródkowa), wreszcie znowu w "Continentalu". W tym Teheranie, w którym powtórzenie jakiegokolwiek widowiska więcej niż trzy razy było dotychczas związane z nie małym ryzykiem, nasz polski zespół dał kilkadziesiąt przedstawień i wszystkie cieszyły się doskonałą frekwencją. Grał parokrotnie w pałacu cesarskim, przed rodziną Szacha, występował w pałacach arystokracji perskiej, w szpitalach i obozach wojskowych. I gdy opuszczał stolicę Iranu, tysiąc ludzi tamtejszych żegnały go ze szczerym sentymentem i najgłębszą sympatią.

Potem, późną jesienią 1942 r., przeniesiono mnie do Bagdadu, a teatr pozostał jeszcze przez pewien czas w Teheranie. Wkrótce jednak spotkaliśmy się znowu na irackim m. p. naszej armji, w Kizil Ribat. Gdy przyjechałem tam z Bagdadu po raz pierwszy, Czołówka nasza była już na dobre zadomowiona w swych namiotach i rozwijała gorączkową działalność. Pod ulewny deszczem, w przejmujące zimno, a potem w straszliwe, upalne letnie lato, artyści nasi na swych wozach ciężarowych przebywali setki kilometrów pustkowi, by nieść rozrywkę żołnierzom polskim i brytyjskim. Grali, gdzie się dało, czasem w najnieprawdopodobniejszych warunkach, na zaimprovizowanych "scenach", wobec rozłożonej na kamieniach lub piasku widowni. Grali pod prażącym słońcem i pod rozgwieżdżonym niebem Iraku, tym niebem, które kiedyś kryło swą błękitną kopułą "prawdziwy" Raj. I znowu były im brawo i czyniły owację tysiące żołnierzy nie tylko polskich, ale i brytyjskich. Znowu zapraszali ich na przyjęcia i dziękowali za szlachetną rozrywkę generałowie angielscy.

Jeszcze jedna liczna gromada poznała dzięki nim polski taniec i piosenkę.

A potem zaczęli występować w Bagdadzie. Pierwsze przedstawienie "Polish Parade" odbyło się w słynnym, nowym bagdadzkim teatrze miejskim, zbudowanym niedawno i prawie zawsze zamkniętym, gdyż stolica Iraku nie posiada własnego zespołu teatralnego. Na premierze był Regent, członkowie rodziny królewskiej, ministrowie, cała elita bagdadzka i wszystko, co tylko znajdowało się tam z angielskiej armji i kolonji cywilnej. Pamiętam, jak w dzień premiery liczni oficerowie brytyjscy i dygnitarze iraccy prosili w Oddziale Propagandy Armji o umożliwienie im nabycia jakiegokolwiek biletu. Niestety, było to niemożliwe. Już na parę dni przed przedstawieniem sala teatru wyprzedana była do ostatniego miejsca. Brawom, owacjom nie było końca. Mieszkańcom Bagdadu Czołówka nasza niosła nie tylko polski taniec, muzykę i piosenkę, ale technicznie europejskiego teatru i europejskiej sztuki wogóle. Dzięki polskiemu zespołowi wojskowemu Bagdad mógł po raz pierwszy ujrzeć tego rodzaju widowisko.

Pełno było i na dalszych przedstawieniach Czołówki. Na jednym z nich, danym wyłącznie dla kobiet (zwyczaj miejscowy nie pozwala kobiecie chodzić do teatru razem z mężczyznami), obecna była Królowa Matka wraz z małym Królem. Wielu Irakczyków szło na ten sam program po trzy i cztery razy. Bo teatr nasz był dla nich istną rewelacją. Bo był dla nich przedstawicielem nowego, nieznanego arcyzmu, **jakiego nie widzieli przedtem.**

Aż wreszcie przyszła kolej na Egipt. Dwukrotnie występowała tu Czołówka: w roku ubiegłym i teraz, ostatnio, przed swym wyjazdem do Europy. Za pierwszym razem sprowadziła ją do Kairu i Aleksandrii angielska ENSA. Nasze władze wojskowe obawiały się wziąć na siebie tak wielkie ryzyko. I trudno im się nawet dziwić. Sprowadzenie zespołu z Iraku do Egiptu było rzeczą bardzo trudną i kosztowną, a rezultat wydawał się co najmniej wątpliwy.

Dlaczego wątpliwy? Dlatego, że największe sukcesy, odniesione przez Czołówkę w Iranie i Iraku, nie mogły dawać gwarancji względnie nawet powodzenia w Egipcie. Tamte sukcesy były do pewnego stopnia zrozumiałe i wytłomaczalne. Teheran ani Bagdad nie znały przedtem prawie zupełnie i nie widziały nigdy teatru rewjowego z prawdziwego zdarzenia. To też występy naszej Czołówki były dla miast tych prawdziwą rewelacją. Niema przytem ani w Teheranie ani w Bagdadzie wielkiej prasy, niema krytyków i co najważ-



DR. STANISŁAW BONA

BISKUP POLSKI

W GRAND ISLAND, NEBR.

Mądre przemówienia i wystąpienia Biskupa Bony na Kongresie w Buffalo zyskały mu powszechne uznanie.

niejsza, brak było możności porównywania.

Zupełnie inaczej miała się rzecz z Egiptem. Kair i Aleksandria widziały już w dziedzinie teatru, baletu i muzyki bardzo wiele. Zjeżdżały tu przed wojną doskonałe włoskie zespoły operowe, francuskie teatry dramatyczno-komedjowe. Widziano tu najlepszych tancerzy i tancerki, takie jak Pawłowa, Argentina. Słyszano największych wirtuozów fortepianu i skrzypiec i najlepsze orkiestry symfoniczne. Nie należy przecież zapominać, że Egipt jest od dziesiątków lat krajem o niesłychanie bogatej kolonji europejskiej, o całkiem francuskiej kulturze wyższych klas społeczeństwa miejscowego. A pozatem w Kairze i Aleksandrii istnieje wielka prasa francuska, arabska, angielska i grecka, wychodzą dzienniki i tygodniki, których nie powstydziliby się żadna stolica europejska. Są tu też krytycy, i to nie byle jacy. Zaryzykować więc w tych warunkach występy skromnego, nawpół amatorskiego polskiego zespołu wojskowego wydawało się rzeczywiście przedsięwzięciem nader śmiałym.

I cóż się okazało? Już po pierwszych przedstawieniach w Kairze nie ulegało wątpliwości, że Czołówka nasza odniosła tu sukces niebywały, oszałamiający. Cała prasa, wszyscy krytycy zgodni byli w tym, że od wielu, wielu lat żaden zespół teatralny nie był w Egipcie tak owacyjnie przyjęty i nie doznał takiego powodzenia. Prasa Kairu i Aleksandrii poświęcała zresztą Czołówce naszej od pierwszej chwili całe kolumny tekstu i fotografii. Sypały się artykuły we wszystkich językach, recenzje, feljetyony, fotomontaże. Za pierwszym pobytom zespołu samych obszernych artykułów pojawiło się ponad trzydzieści, fotografii zaś i wzmianek nie potrafiłbym zliczyć. Ukazały się nawet wywiady prasowe z hollywoodzkim poduceniem Diany Durbin, Bruce Manningiem oraz dyrektorem nowojorskiego Radio-City Theatre, Bobem Maxwelllem, pełne nieukrywanego zachwytu nad Czołówką. Za pierwszym swym pobytom w Egipcie Czołówka dała w Kairze, Aleksandrii i obozach wojskowych ponad dwadzieścia przedstawień, z czego sześć w Kairze, w ogromnej, 1,200 miejsc liczącej sali koncertowej Uniwersytetu Amerykańskiego i trzy w Aleksandrii, w jeszcze większej sali teatru Alhambra. Widziało te przedstawienia ponad 30 tysięcy cudzoziemskich widzów, wśród nich zaś królowie Egiptu i Grecji, generał Wilson, admirał Cunningham, generał Royce i wiele innych wybitnych osobistości. Posypały się propozycje wysłania Czołówki do Stanów Zjednoczonych, Afryki Południowej, Australji, Anglii.

W roku obecnym przedstawienia "Polish Parade" zorganizowane zostały staraniem naszych własnych, polskich władz wojskowych. Ale i tym razem żywiłmy niejaki obawy. Odpadał przecież w roku bież. element nowości, sensacyjności, tak ważny w tego rodzaju imprezach, element, który mógł być w dużym stopniu przyczyną zeszlonoocznych sukcesów.

A przytem skład zespołu był tym razem nieco inny. Ubyli: Lawiński i Kersen, którzy przeszli do Czołówki Dramatycznej, Różyńska, Pruszyńska, Jakubówna. Przybył znakomity Kazimierz Krukowski, Weronika Ignatowicz, śpiewak Pręgowski, tancerze: Łozińska, Mróz i Zadejko. Kierownictwo artystyczne zespołu spoczywało tym razem w rękach Konrada Toma.

A jednak znowu powtórzyło się to samo. Entuzjastycznych artykułów, recenzji, feljetonów, zdjęć, fotomontaży ukazała się istna powódź. Niektóre wielkie tygodniowe pisma ilustrowane zapełniały opisami i fotosami naszej Czołówki całe stronicę, a nawet okładki. Czołówka dała znowu

szesć przedstawień w Kairze, dwa w Aleksandrii i szereg spektakli w obozach. Wszystkie były wyprzedane do ostatniego miejsca. Rozbawiona publiczność śpiewała wraz z naszymi aktorami i nie chciała puścić ich ze sceny. Mazurek, polka, kujawiak stały się najpopularniejszymi tańcami Kairu i Aleksandrii. Znowu ponad 30 tysięcy widzów oglądało przedstawienia "Polish Parade". Był między nimi znowu król Egiptu, Faruk, który samorzutnie, bez ceremonji i etykiety zjawił się pewnego wieczoru w zamówionej uprzednio przez szambelana łoży. Był król grecki Jerzy, ambasador brytyjski lord Killearn, dowódca sił Śr. Wschodu generał Paget i inni. Galowe przedstawienie

Czołówki na rzecz "Lady Killearn's Fund" i na fundusz ofiar malarji w Górnym Egipcie zamieniły się w wielkie manifestacje światowe tutejszych najwytworniejszych kół międzynarodowych. Domagano się dalszych jeszcze przedstawień i gdyby nie zbliżający się termin wyjazdu do Włoch, możnaby było dać ich jeszcze całą serję, a wszystkie byłyby wyrzedane.

Czemuż przypisać należy ten tak wielki sukces naszej skromnej Czołówki wojskowej w tak wyrobionych artystycznie, światowych ośrodkach, jak Kair lub Aleksandria? Nie wiem sam. Zastanawialiśmy się nieraz nad tym w naszym, polskim gronie. O ile umieliśmy sobie ostatecznie wyłowić wielkie sukcesy Czołówki w

Teheranie i Bagdadzie, o tyle jej tryumfy egipskie stanowiły dla nas prawdziwą zagadkę. Jest jednak widocznie w tym zespole jakiś swoisty czar, jakaś oryginalność i bezpośredniość, które podbijają serca dziesiątków tysięcy cudzoziemców. Jest też, w skromnych oczywiście, amatorskich niemal ramach, przemożna siła polskiej sztuki ludowej, która tyle działać potrafi.

Dziś, gdy dwuletnia praca artystyczna naszej Czołówki wojskowej na Środkowym Wschodzie dobiegła końca, trzeba było zestawić bilans tej pracy. I trzeba powiedzieć naszym aktorkom i aktorom w mundurach, że dobrze i rzetelnie zasłużyli się tu Sprawie Polskiej.

M. NIEDŹWIECKI

*
* *
* * *

*W rozbrzaskach świtów i ciszy,
gdy sad zaśpiewa roraty —
zakrada się ktoś w mój ogródek
i, szelma — zasiewa mi kwiaty..*

*Zasiewa i skrapia rześście
deszczem perlстым i rosą,
aż rozsypują się w kiście
Syppkim szelestem — jak proso.*

*Astry, piwonje, rumianki,
mięty, konwalje, dziewanny,
stają kwitnącem półkolem
śpiewać mi chorał poranny.*

*
* *
* * *

*I pachną słodko i kwitną,
patrzą w sypialni firanki,
oczu jasnością błękitną —
bezwstydne — mięty, rumianki..*

*Biel słońca słodką — jak mleko
dają mi pić na talerzu — — —
i szepcą: — wstań, ty kaleko,
błądny, bezkonny rycerzu!*

*I — jak rusałki przejryste,
biorą się chwiejnie za ręce —
I rumby tańczą faliste,
aż świt się płoni rumieńcem.*

*
* *
* * *

*Któż tu się nocą wałęsa —
skąd te kwieciste przybłądy?...
Spać mi nie dają zapachem,
depcą pietruszki mej grędy.*

*Aż pewnej nocy — wykryłem!
Wiem, kto mi wsiewa pachnidła:
postać srebrzysta i biała,
na plecach związane ma skrzydła.*

*Anioł? O psoto przedziwna!
Stanie się rzecz tu wesola:—
jutro — przyczaję się w kwiatkach
i złapię sobie — Anioła!...*



CZAR POWOJENNEJ WARSZAWY
Plac Zamkowy — Kolumna Zygmunta —
Katedra Św. Jańa

THE VOICE OF AMERICA

A GRIM FARCE

Although we have sent more than \$4,000,000,000 worth of Lend-Lease supplies to Russia to help carry out the first objective, of winning the war, we have apparently exacted no promise of any kind that will help the second objective, of winning the peace, except the very general terms of the Moscow Four Power Agreement. Of course, this is not a time to determine exact boundaries, but up to this time we have not established the principle of the freedom and sovereignty of these states, England went to war to protect Poland against Germany. Certainly the war becomes a grim farce if we are unable to protect the essential integrity of Poland against Russia.

Senator Taft, in an address quoted by Plain Dealer (Cleveland) and Courant (Hartford).

We have not given up hope or our belief that the United States will, at the proper time, be able to protect the essential integrity of Poland.

* * *

THEN AND NOW

Today Poles, and not Poles alone, wonder what fate is in store for this gallant nation which has endured far more than its share of misfortune.

Disparagers of Poland nowadays accuse the Warsaw regime of 1919-1939 of being reactionary, indeed chauvinistic. That blanket accusation is far from being wholly true and whatever reactionary tendencies there were, undoubtedly resulted primarily from fear of Poland's neighbors. It is interesting to note that what Poland's neighbors had against her — aside from their greed for Polish territory — in 1793 and 1795 was her political progressivism. A democratic government in the middle of Europe could not be tolerated by the then rulers of Prussia, Russia and Austria.

*Chronicle, Houston, Tex.
May 8.*

A progressive, democratic Poland is as much a disturbing threat to totalitarian neighbors today as it was in 1795. However — that is Poland's destiny.

* * *

WHOLE AND INTACT

If even one freedom comes from an United Nations victory over Nazi Germany that freedom should be for the Polish people to have their nation free and whole and

rebuilt. Had they collaborated instead of resisting Hitler there might have been an entirely different status of world conditions today. They gave the first blood. They gave the first armed might against Nazism and they look the full force of the blow alone awaiting help that could not come because help then was impossible. The Poles have paid the price for Liberty many times, but never before have they paid so much nor contributed so much for the freedom of other people including ourselves as they have paid in this war. If there is any justice. If there is any liberty. If there is any meaning to this struggle for a new and better world, then the Poles will be free again with their nation intact.

*Leader, Kingston, N. Y.
May 4.*

We are grateful to the Editor of the "Leader" for these heartening words.

* * *

FIGHTING ON

Poland has never ceased to resist the Hitlerites. The Polish Army, Navy and Air Force have fought in France, Norway, Libya and elsewhere. Polish flyers took part in the Battle of Britain and are in action every day over Germany and the occupied territories. The Polish Navy is doing its full share in the Battle of the Seven Seas. Poland has never had a Quisling. Her underground keeps up a relentless and effective struggle against the German invaders. Now Polish troops are doing their part to crack the Gustav Line in Italy.

*Advertiser, Huntington, W. Va.
May 13, 1944.*

Yes — the Poles are still fighting. The battlefields of democracy are their ideological boundaries.

W POPRZEDNIEM 24 (76) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

"Głos Miljonów" (po Kongresie w Buffalo); Stanisław Stroński: Emisarjusz; Aleksander Janta (Pozezje); Stefan Mierzwa: Kongresik w Kongresie; Nasz bohaterki 2 Korpus we Włoszech (fotografje); Irena Piotrowska: Młodzi artyści polsko-amerykańscy.

AGAINST EMOTIONALISM

The Polish government in exile is resolved not to yield as much as Russia demands. Britain and the United States are importuned to intervene on Poland's behalf. Mr. Churchill and Mr. Roosevelt have tried to say something about it to Mr. Stalin; and, according to credible report, have almost literally been told that the Polish boundary is none of their business.

Such is the situation about which the Polish people in the United States are supposed to be so much disturbed that they may make a political or partisan issue of it. The substance of the matter seems tangible enough for a domestic issue; but the possible effects of emotionalism cannot be gained.

*Times, Seattle, Wash.
May 11, 1944.*

The complacency with which the Times accepts Russia's attitude is sufficient proof that some journalists look upon our foreign policy as secondary to our domestic issues, not recognizing the importance and interdependence of both. Hence — this strange sermon.

* * *

AN OLD DEBT

From the days of Kościuszko and Pułaski the American people have freely acknowledged the debt their country owes to the sons of Poland. They appreciate the fact that that debt is a very real one and a debt of considerable magnitude. And the recent tragedies in ravaged Poland has intensified the admiration of the American people for the dauntless sons and daughters of old Sarmatia. Every true American is hoping today that the return of peace will bring national independence and national safety to the Poles.

*Oklahoman, Oklahoma City, Okla.
May 9, 1944.*

The interest accrued since the days of Kościuszko and Pułaski figure in this account on the ledger of hundreds of thousands of American soldiers of Polish descent and in the great contributions made by the Polish army, navy and air force on our side.

Prosimy o odnowienie prenumeraty!

O P I N I E I Z D A R Z E N I A

INWAZJA

Od tygodnia wojska aljanckie walczą we Francji, skąd przedewszystkiem pójdzie ostateczna ofenzywa na "Twierdzę Europejską" Hitlera. Wojna weszła w jej fazę decydującą. Jak zawsze — i tym razem w szeregach aljanckich walczą także Polacy. Dochodzą nas wieści o skutecznej akcji polskich statków wojennych i handlowych. Lotnictwo polskie, stacjonowane w Anglii, jest czynne jak nigdy przedtem. Brak jak dotąd wiadomości o lądowaniu polskich dywizyj, które od trzech lat trenują w Anglii. Nie ulega jednak wątpliwości, że niedługo i o nich usłyszymy. Nie wątpimy także, że dalszy rozwój Inwazji przyniesie polskim siłom zbrojnym nowe Tobruki i Cassina.

MODLITWA POLSKI PODZIEMNEJ

Oddziały bojowe Armji Krajowej w Polsce, t. zw. "Żołnierze Uderzenia" posiadają własne podziemne pismo "Do broni", na którego tytułowej stronie widnieje wielomówiące motto:

Oświęcim żąda krwi!

Oświęcim, Majdanek, Oranienburg, Dachau, Wawer, Bochnia, Warszawa, Pawiak, Montelupich, Palmiry i dwa miliony wysiedlonych, milion na robotach i pół miliona rozstrzelanych — oto rachunek niemiecki wypisany krwią — krwią będzie przekreślony.

Pismo "Do Broni" przynosi w 11 numerze tekst przepięknej i wzruszającej "Modlitwy Wieczornej" żołnierzy Polski Podziemnej!

Boże Chrobrego! Baże Jagiellonów i Sobieskich!

Ojcze, Synu, Duchu Święty!

Oto modlimy się znów do Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w rękę, przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem z orłów i chorągwi naszych".

Rozrzućmy po wszystkiej Ziemi Polskiej jednoczymy się w tej chwili w jednolity, zwarty zespół i zastęp, by ucuć się razem, jednym duchem i jednym ciałem, jedno pełniącym zadanie narzędziem Twoim.

Dziękujemy Ci za dzień dzisiejszy. Za wszystko co nam dzisiaj zesaść postanowiłeś. Za wszystek trud i

znój — za wszystką chwałę zwycięstwa — za każdy cios klęski.

Bądź wola Twoja — jako w niebie tak i na ziemi.

Jesteśmy na posterunku. Meldujemy się Majestatowi Twojemu. Stajemy we czci świętej przed Oblicznością Twoją, aby odebrać Twój rozkaz na jutrzejszy dzień.

Czujemy ciężącą na nas odpowiedzialność i badamy sumienie swoje. Liczymy swe błędy i prostujemy wolę na dziejowy czyn.

*

Odpuść nam nasze winy.

Nie dopuść, aby za grzech nasz miał odpokutować kraj nasz lub brat; aby za winę osobistą miał ginąć Naród i zadane nam zlecenie.

Wezwane jest imię Twe nad nami.

Przyjdź Królestwo Twoje. Królestwo zbratanych sił Narodu, Królestwo zjednoczonej Słowiańszczyzny.

Daj nam Ducha Twego. Ducha uderzenia. Ducha karnego trwania na szanę, choćby już straconym. Obudź w nas lęk nie przed wrogiem zewnętrznym, ale przed własną, krnąbrną i niecną, kresu nie znającą samą siebie bezwładem swym chłuszczącą duszę polską.

Stwórz w nas nowego Polaka. Nowy jego typ. Człowieka całości, który sam w sobie odnajduje się członem wielkiego zespołu narodowego, dla którego niesie życie i śmierć.

Daj nam zrozumieć, iż każdy z nas "w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic".

O heroizm duszy polskiej — prosimy Cię Panie!

O zaciętość w wytrwałości, aż do dokonanego zwycięstwa — prosimy Cię Panie!

O jednego ducha w nas, o jedno chcenie, o jedno uczucie i porozumienie — prosimy Cię Panie!

I nie wódź nas na pokuszenie lekomyślniej brawury i samozwańczych dokonań.

I zbaw nas ode złego naszego, od dziejowej biernoty, bezmyślności, bezpodmiotowości naszej.

O to wszystko Cię prosimy za przyczyną Najświętszej Marji Panny, Królowej Korony Polskiej.

Przez wstawiennictwo św. Patronów naszych — Wojciecha, Stanisława, Andrzeja.

Przez mękę Oświęcimia, Palmir i Katynia.

Przez łzy i ból naszych matek.

Przez zdeptaną cześć naszych Sióstr.

Przez krew pomordowanych polskich dzieci. Amen.

NASZE WŁASNE KORESPONDENCJE WOJENNE

Od następnego numeru "Tygodnik Polski" drukować będzie korespondencje wojenne z terenu działań naszego Drugiego Korpusu. Korespondentem naszym będzie Tadeusz Zajączkowski. Jesteśmy pewni, że nasi czytelnicy z niecierpliwością oczekiwać będą na te listy, zaspakajające głód wieści, które obok wieści z kraju, są dla każdego Polaka najważniejsze.

ZOSIA TERNÉ — BOHATERKA

Jak nam piszą w prywatnym liście z frontu włoskiego, dawniejsza ulubienica "Qui Pro Quo", a obecnie gwiazda Czołówki Krukowskiego — Zosia Terné śpiewała piosenkę w chwili, gdy o kilkadziesiąt kroków od niej spadł granat. I Zosia Terné ani na chwilę nie przerwała śpiewu.



Prof. Stefan Mierzwa, Dyrektor Fundacji Kościuszkowskiej, autor artykułu "Kongresik w Kongresie" (p. "Tygodnik Polski" No. 24)

TRZECI FRONT TO
SPRZEDAŻ BONDÓW
WOJENNYCH.

BIEDNE, POKRZYWDZONE NIEMKI

Źle wiedzie się niemieckim paniom domu na Śląsku. Los stał się tak ciężki, że ostatnio biedaczki musiały zwrócić się do władz z prośbą o opiekę i ochronę przed butą polską. Skargi ich wywołały w jednym z miast śląskich okólnik do kupców, w którym kierownik państwowej grupy branżowej upomina surowo właścicieli sklepów, by zwrócili uwagę na zachowanie się polskich sprzedawców i sprzedawczyń; skargi bowiem Niemek stwierdzają, że polscy sprzedawcy, bez zwracania uwagi na obecność Niemców, rozmawiają między sobą swobodnie po polsku i w obecności niemieckich klientek obsługują Polaków. Ponadto często zachowują się tak, jakby nie było wogóle żadnego niemieckiego klienta w sklepie.

Paniusiom niemieckim również nie podoba się, że niekarni Polacy nie stosują się do zarządzeń władz. Np. zarządzenie, odnoszące się do czasu czynienia zakupów przez Polaków, który winien kończyć się o godzinie 17ej nie jest przestrzegane. Polacy po godzinie 17tej poprostu zapełniają sklepy. A sprzedawcy, zamiast grzecznie ich wyprosić — usługują im.

Nie można się dziwić, że Niemki poprosiły władze o pomoc.

Niewątpliwie pomoc ta nie da na siebie czekać. Zjawi się w postaci lotnych oddziałów policji handlowo-przemysłowej, rewizyj sklepów po godzinie 17tej. Może nawet jeden, czy drugi z polskich sprzedawców pojedzie na roboty przymusowe.

Niewiele to jednak pomoże. Żadne zarządzenia, żadne prześladowania i kary nie zmienią postawy polskiego śląska. Nie oduczą Polaków pomagać sobie wzajemnie, tworzyć twarde, jednolity front — w każdej dziedzinie codziennego życia.

ŻOŁNIERZ I RABUS

Wojna kreśli coraz wyraźniej linię graniczną między pojęciem żołdaka i żołnierza. I jeden i drugi władza wprowadzi tą samą bronią, ale jakże wielka różnica dzieliła zawsze rycerza od żołdaka. Żołnierz niemiecki daje tysiączne dowody, jak daleki jest od pojęcia wszelkiego rycerstwa.

Oto opowiadanie korespondenta wojennego przy Drugim Korpusie Wojsk Polskich o zdarzeniu na froncie, które wymownie uwydatnia różnicę między żołnierzem-rycerzem a żołdakiem-rabusiem:

Patrol polski w sile dwudziestu ludzi otrzymał rozkaz by rozpoznać małą wioskę, położoną w górach. Odalona była zaledwie o milę od stanowisk nieprzyjaciela. Brnąc po kolana w śniegu, patrol dotarł do wioski po osiemnastu godzinach uciążliwego marszu.

Uradowani Włosi zwierzili się zaraz naszym żołnierzom z największej swej troski. Oto codziennie o świcie zjawiają się we wsi żołnierze niemieccy. Chodzą od domu do domu i rabują żywność: mleko, chleb, mięso.

Usłyszawszy te skargi i żale, dowódca patrolu kazał włoskim chłopom pozostać w domach i oddać żywność Niemcom, gdy tylko się znowu pojawią. Sam obsadził swymi ludźmi drogę i urządził zasadzki. Polacy czekali na Niemców 20 godz. O świcie około pięćdziesięciu pewnych siebie żołnierzy niemieckich przybyło do wsi z pustymi koszami na żywność. Starym zwyczajem zaczęli obchodzić domy Włochów i grabić, co się dało.

Ale w jednym z domków ukryli się Polacy. Niemcy najpierw zapukali, a gdy nikt nie odpowiadał, zaczęli się dobijać. Wreszcie rabusie wywalili drzwi siłą. Wśród przekleństw wpadli do środka, wołając o żywność. Zamiast żywności posypały się kule. Pierwsza salwa była sygnałem dla Polaków ukrytych w innych domach. Niemcy byli zupełnie zaskoczeni. Uciekali w panice, pozostawiając czterech zabitych, kilku rannych i wiele pustych koszy na żywność...

Patrol polski dał dobrą nauczkę rabusiom. A Włosi w tej wiosce odechnęli z ulgą, bo pewni są, że dawni ich alianci nie przyjdą już więcej na zbójczą wyprawę.

Potrzeby na czasie!



HELENA RUBINSTEIN

Wyśmienity środek
na usuwanie włosów

Cena \$1.

Komplet zapasowy 50 centów

ZOFJA BOHDANOWICZOWA

* * *

*Zmierzchy, gorzką tęsknotą jak rosa nalane,
Pozostawiam cyprysom — strażnikom mych smutków,
A różom księżycowym w arabskim ogródku
Pozostawiam gorące noce — przeplakane.*

*Dni, które się sączyły z nieba powolutku
Jak krople gęstej ambry w słońcu przepalanej,
Zdały się być pożogą i wrącym wulkanem,
A przecież były ciszą i trwały tak krótko.*

*Okręt rusza. Spełniła się jakaś miara czasu
I jakiś akt dramatu jak wieczorna zorza
Gaśnie na brzegu pośród oliwkowych lasów.*

*Algier w blasku zachodu załśnił i rozgorzał,
Jak rzucona niedbale ze szczytów Atlasu
Biała róża, wędnąca u chłodnych warg morza.*

SP. JAN RYSZARD BYCHOWSKI

Prof. Gustawa Bychowskiego, znakomitego psychjatrę, przyjaciela naszego i współpracownika, dotknął ciężki cios. Syn jego, sierżant Jan Ryszard Bychowski zginął śmiercią żołnierza, zapisując swe imię w szeregu bohaterów polskiego lotnictwa. Był to młodziwiec rokujący najpiękniejsze nadzieje, że zarówno w swej naukowej specjalności wybił się na jedno z czołowych stanowisk, jak też, że zajmie wybitne miejsce w życiu społeczno-politycznym, do którego sposobił się gruntownie, studjując oraz biorąc udział w pracach Polskiej Partii Socjalistycznej.

Ryszard Bychowski, podobnie jak jego ojciec — łączył zainteresowania specjalne z ogólną wysoką klasą kulturą humanistyczną. Znamca i miłośnik literatury i poezji, był on wzorem idealistycznego młodzieńca polskiego, wykwittem najpiękniejszych tradycji Żydów Polaków, którzy pracowali dla Polski i poświęcili dla niej życie. Jego koledzy lotnicy zachowają na zawsze pamięć o chłopcu, który dzieckiem prawie poszedł służyć Ojczyźnie, szedł nieuleknie naprzeciw wszystkim niebezpieczeństwom, świecił przykładem lojalności i odwagi. Wszyscy, którzy go znali, opłakują w nim młodzieńca o umyśle niezwykłym, charakterze bez skazy i najczulszem sercu. Prof. Bychowskiemu i Jego Żonie — przesyła "Tygodnik Polski" wyrazy najgłębszego współczucia.

DALSZA LISTA OPIEKUNÓW
"TYGODNIKA"

W ostatnim czasie znowu szereg przyjaciół naszego pisma przyszedł nam z pomocą zapisując się na listę jego opiekunów. Dziękujemy najserdeczniej. Oto nowe nazwiska:

Żołnierze Armji Polskiej na Wschodzie i Redakcja "Orla Białego" — \$120.90

M. Reszetnik, Detroit, Mich. \$20.

Dr. J. Kuleszewicz, Philadelphia, Pa. \$20.

Fundacja Pułaskiego, Oddz. Philadelphia, Pa. (nieprzyjęte honorarium prelegenta A. J.) \$25.

Ks. M. Bogucki, N. Haledon, N. J. \$20.

G. J. Spor, Detroit, Mich. \$25.

K. Popiak, S. Boston, Mass. \$25.

Mrs. S. Bury, Boston, Mass. \$20.

Ks. F. Kasprowicz, Trenton, N. J. \$10.

D. Federowicz, New York, N. Y. \$5.

H. J. Jaworowicz, Detroit, Mich. \$5.

Anonim, Middletown, Ohio \$25.

Anonim, Providence, R. I. \$25.

Anonim, Providence, R. I. \$20.

Pozatem Sokolstwo Polskie w Ameryce, Pittsburgh, Pa., złożyło \$150. na prenumeratę dla żołnierzy.

GENERAL ALEXANDER
W POLSCE

Jeden z wielkich zwycięzców kampanji włoskiej, dowódca wojsk aljańskich we Włoszech, pod dowództwem którego walczył również nasz drugi korpus — generał Alexander nie jest obcy Polsce i Polakom. Podobnie jak generał de Gaulle w misji francuskiej, tak generał Alexander brał udział w swoim czasie w angielskiej misji wojskowej, na czele której stał wielki nasz przyjaciel, generał Carton de Wiart.

MIŁE WAKACJE
W SERCU GÓR CATSKILLS

Urocza okolica — górzysto-leśna. Kąpiel, sporty. Kuchnia polsko-amerykańska. Ceny umiarkowane. Po informacji:

Villa Josephine
JÓZEFA de MATANIA,
Elmwood Farm, Hunter, N. Y.
Telefon Hunter 3312

NAJPIĘKNIEJSZE LETNISKO
POLSKIE

Cudna okolica w górach Catskills

LOCUST GROVE HOUSE
Arkville, N. Y.

Wspaniały dom, 40 pokojowy, obszerne weranda. Duże pokoje, wanny. Kąpiel na miejscu. Sala do tańca, tenis, "Shuffle Board", ping-pong. Dobra polsko amerykańska kuchnia. Drób, jarzyny i nabiał z własnej farmy. Ceny umiarkowane. Łatwy dojazd koleją New York Central lub autobusem Grayhound, który staje przed domem.

Piszcie po rezerwacje.

Jan Markiewicz i Marja Strassburg
właściciele

POLSKI PENSJONAT

na amerykańskim Podhalu
w pięknej górzystej okolicy

GÓRY BERKSHIRN

IDEALNE MIEJSCE

DO SPĘDZENIA WAKACJI

Pierwszorzędna kuchnia.

Nowomodny komfort

Ceny przystępne

Zgłoszenia przyjmujemy

RENA FARM
East Chatham, New York

W dużym budynku biurowym

POTRZEBA KOBIET
DO CZYSZCZENIA

Zapłata plus over-time

\$30. i więcej tygodniowo.
Zgłaszać się: Superintendent
70 Pine St., New York, N. Y.